

Dążenie pań do zrównania swoich praw z mężczyznami rozumiem, ale jeśli przybiera patologiczną formę to protestuję. Nawet gdybym miał zostać posądzony o utrwalanie historycznego patriarchy (to oskarżenie, jakim obrzucano oponentów zmian w Kodeksie Wyborczym, podczas prac w Sejmie).

Obawiam się, bowiem, że otrzymamy efekt odwrotny od oczekiwanego. Miast zrównać szanse pań i panów (tym razem w zmaganiach o tytuł posła czy radnego), zaburzymy ją tyle, że tym razem w innym kierunku.

Zgodnie z zasadą nadmiernego wychylenia wahadła w jedną stronę, dla zachowania równowagi musi ono siłą rozpędu powędrować w przeciwną! Jeśli w przeszłości mieliśmy do czynienia z nadmierną dominacją panów, to teraz zmierzamy w przeciwnym kierunku. Ród męski czeka los kozła ofiarnego, uznanego za przyczynę wszelkiego zła na tym świecie, więc winien szczeznąć w kazamatach!

Przyczynkiem do tych filozoficzno – historycznych refleksji jest propozycja zmian w Kodeksie Wyborczym, złożona przez Panie posłanki (o dziwo występujące wspólnie bez względu na reprezentowane partie polityczne).

Projekt ustawy przewiduje wprowadzenie mechanizmu umieszczania na listach wyborczych kobiet i mężczyzn w sposób naprzemienny. Ta zasada miałaby w takim samym stopniu dotyczyć wyborów parlamentarnych jak i samorządowych.

W uzasadnieniu projektu ustawy wskazano m.in., że wprowadzenie 35 proc. parytetu dla pań, doprowadziło do największego w historii Polski udziału kobiet w Sejmie, ale nadal jest to udział dalece odbiegający od zasady równej reprezentacji pod względem płci. Zdecydował o tym, w opinii wnioskodawców, sposób konstruowania przez partie polityczne list wyborczych, wyraźnie faworyzujących mężczyzn. Wzrost liczby kobiet kandydatek na listach wyborczych można było zaobserwować przede wszystkim na miejscach dających praktycznie mniejsze szanse na wybór.

Moim skromnym zdaniem nie wynika to z męskiego szowinizmu, a z faktu, że po prostu panie nie garną się do życia politycznego, a jeśli już to są to często osoby mające o wiele mniejsze szanse na sukces od konkurujących z nimi panów.

Warto przypomnieć, że wprowadzenie 35 proc. parytetu dla płci doprowadziło już do znacznie znacznego zwiększenia obecności kobiet na tych listach. W wyborach parlamentarnych z 2007 roku kobiety na listach osób kandydujących stanowiły 21 proc., a w wyborach w 2011 roku aż 44 proc, czyli ponad dwukrotnie więcej! Doprowadziło to do najwyższego w historii Polski udziału kobiet w Sejmie.

Nie podzielam zdania wnioskodawczyń projektu zmian w Kodeksie Wyborczym. Twierdzą, że naprzemienne umieszczanie na listach wyborczych kobiet i mężczyzn nie zagwarantuje uzyskania mandatu, jednak umieszczanie kobiet na listach wyborczych w tzw. "wybieralnych" miejscach stanowić będzie środek prowadzący do urzeczywistnienia zasady równego traktowania.

Uważam, że tak wcale stać się nie musi. Dlatego, że my wyborcy stajemy się coraz bardziej świadomi i w swojej coraz większej grupie, nie głosujemy w ciemno na tych z czołówki list wyborczych. Mamy coraz większe poczucie wagi naszego głosu, ale też krytycznie oceniając działania polityków, nie koniecznie podzielamy ich sugestie związane z tworzeniem kolejności na listach wyborczych. Szukamy jak najlepszych kandydatów także na końcu list wyborczych i jest ogromnie wiele przykładów tego, że to

Poselskie propozycje zmian w Kodeksie Wyborczym. Obowiązkowe kandydowanie pań

Kategoria: Felietony

Opublikowano: poniedziałek, 09, grudzień 2013 07:59

Odsłony: 2125

właśnie takie osoby wygrywały wybory.

Proszę, więc o więcej zaufania dla wyborców oraz apeluję do pań o to by po prostu chętniej włączały się życie społeczno – polityczne. Na co dzień stykam się z bardzo dobrymi przykładami, że tego typu aktywność pań posłanek czy radnych przynosi bardzo dobre efekty. Tym paniom, aby zdobyć mandat, nie był potrzebny ani parytet, ani suwak wyborczy (propozycja naprzemiennego umieszczania na listach).

Marek Wójcik